Nr. 17. We Lwowie dnia 24. kwietnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Germanizacja w zaborze pruskim.

Uchwalenie nowego 100 miljonowego funduszu komisji kolonizacyjnej i „debaty polskie“ w parlamencie niemieckim znowu zwróciły uwagę naszego ogółu na Zabor pruski.

W ostatnich czasach nieraz dają się słyszeć głosy, że germanizacja jest dla nas bardziej niebezpieczną od rusyfikacji. O ile głosy te nie pochodzą od ugodowców warszawskich i moskalofilów galicyjskich lub czesko-słowiańskich, są szczere, i przeto zmuszają nas do zastanowienia się nad stosunkami w zaborze pruskim.

Fakt, że burżuazja i biurokracja tak niemiecka, jak moskiewska dąży, by nas wynarodowić. Nawet organa „przyjaźne Polakom“ (Pietierburskieje Wiedomosti, Berliner Tageblatt...) nie potępiają w zasadzie polityki wynarodowienia; jeżeli napadają na rząd i hakatystów, to tylko potępiają sposób przeprowadzenia tej polityki, gdy się on okazuje bezowocnym.

Bardzo charakterystycznem i pouczającem jest to, co niedawno pisał „Berliner Tageblatt“ w kwestji germanizacji, po uchwaleniu nowego sto miljonowego funduszu kolonizacyjnego.

„Kto mieszka w Poznańskiem, pisze ów dziennik, i śledzi z uwagą *środki*, jakich rząd używa *celem wzmocnienia niemieczyzny w prowincjach wschodnich* i kto jednocześnie miał możność zapoznać się z pojęciami i nadziejami mieszkańców Księstwa, ten dozna wstrętu na widok *środków, dotychczas używanych w celu popierania interesów germańskich*. Jesteśmy dalecy od tego, ażeby lekceważyć niebezpieczeństwo, grożące nam ze strony rzeczywiście wzrastających ciągle nadziei polsko-narodowych. Nie możemy jednak w żaden sposób uznać obecnego postępowania rządu za sprawiedliwe i moralne. *Jakież skutki ono dotychczas przyniosło?* Około 100,000 hektarów ziemi, uzyskanych przez komisję, a w części tylko rozdzielonych pomiędzy niemców osadników, nie można brać w rachubę, tem bardziej, że skutkiem nieodpowiedniego wyboru kolonistów wytworzono nieświetne stosunki. Wielu niemców przybyszów z powodu nieznajomości warunków miejscowych doszło do ruiny majątkowej, wielu zaś innych to samo czeka w przyszłości. Nie 100, lecz nawet 100 razy sto miljonów nie wystarczy, jeżeli rząd nie zmieni nadal swego postępowania.

Jakież on zmiany zaprowadził zapomocą stosowania środków dotychczasowych?

Około 100 większych posiadaczów ziemskich ubyło w prowincjach wschodnich Prus i Poznańskiego. Zato zaś nieufność i nienawiść Polaków właścicieli wielkich udzieliła się także mieszczaństwu i ludowi. Nie możemy zaprzeczyć, że szowinistyczna robota hakatystów stała się przyczyną nienawiści. Skutki zaś takiego stanu rzeczy uderzają przedewszystkem w rząd, gdyż ten usilnie popiera towarzystwo moralnie i materjalnie. Faktem jest niewątpliwym, że szlachta polska zmierza do upadku (?), nie będziemy jej opłakiwali. Gdy nie umie, czy też nie może nabrać doświadczenia, niech sama cierpi. Występowanie rządu przeciwko powstałemu stąd wzburzeniu jest całkiem słuszne i uzasadnione. Ale inaczej rzecz się ma w stosunku do mieszczaństwa i ludu; *zmienił się duch tych warstw*, które niedawno jeszcze były zadowolone z rządów pruskich, bo uciskają je, odsuwają od dorobku krajowego i zmuszają do mowy niemieckiej. Zdaje się, że przeszłość nie nauczyła jeszcze niczego naszych mężów stanu.

Polacy nie będą nigdy dobrymi Prusakami, ale na dobrych poddanych urośliby w innych warunkach. Powiedźmy wreszcie szczerze, kto trzyma prym w ruchu polskim: tylko szlachta (??!) i duchowieństwo (?). Żadnemu włościaninowi nie przyszłoby nawet na myśl łączyć się z dawną gnębicielką szlachtą, posiadaczką wielkiej własności, aby wypowiedzieć walkę germanizmowi i Niemcom. Dopiero rząd od-

bierając ludowi to wszystko, co mu się należy, sam stworzył te stosunki. Środki, którymi on się posługuje idą na korzyść wielkich posiadaczów, gdyż ułatwiają im wpojenie w lud tego przekonania, że rząd wkłada na niego te same obowiązki, co na Niemców, lecz jednocześnie nie daje mu tych samych praw, co tamtym. W ten tylko sposób możemy wytłumaczyć, dlaczego obecnie wzmagający się ruch polski ogarnia szerokie warstwy ludowe. Jeżeli rząd nie porzuci drogi, którą dotychczas podąża, to zdobyty obecnie nowy fundusz 100 miljonowy posłuży tylko do wzmocnienia ruchu polskiego".

Kto nie zna dobrze stosunków w polskich prowincjach Królestwa Pruskiego, temu ostatnie twierdzenie Berliner Tagblattu wyda się czemś w najwyższym stopniu nieprawdopodobnem; a jednak, jak się przekonamy dalej, jest ono prawdziwe.

Co zdziałała komisja kolonizacyjna? Od 1886 do 1896 r. nabyła 148 majątków szlacheckich z przestrzenią 91.331 hektarów, 35 chłopskich posiadłości z przestrzenią 1.393 hektarów, czyli wszystkiego 1.7% całego obszaru Poznańskiego i Prus Zachodnich.

Cena kupna ziemi wynosiła przeciętnie 648 marek za hektor; cena ta jest nietylko znacznie wyższą od przypuszczanej w projekcie komisji kolonizacyjnej (560 za hektar), ale jest znacznie wyższą od przeciętnej ceny ziemi w tych prowincjach z ostatnich lat. Cena ziemi w 1890 r. wynosiła już 605 marek za hektar i wciąż wzrasta.

Na podniesienie się ceny ziemi w tych prowincjach składają się różne przyczyny. Fundusz 100 miljonowy odegrał tu ważną rolę.

Wiadomo, jak nasza opinja publiczna i prasa jednogłośnie potępia tych, co się pozbywają ojcowizny na rzecz niemieckiej komisji kolonizacyjnej i imiona ich wystawia pod pręgierz. Ten, kto w tych warunkach sprzedaje ziemię komisji kolonizacyjnej, żąda od tej ostatniej, by mu grubo zapłacono za narażenie się opinji publicznej. Pewien właściciel, jak wiemy z mowy posła Czarlińskiego w sejmie, sprzedał majątek komisji kolonizacyjnej, gdy ta mu zapłaciła o 35,000 marek więcej, niż proponował prywatny nabywca. Nieraz się zdarza, że większy właściciel ziemski, sprzedawszy korzystnie komisji kolonizacyjnej swój odłużony majątek, staje na nogach, pozbywszy się długów, i za gotówkę kupuje następnie majątek u Niemca sąsiada.

Niemieccy właściciele zazdrośnem okiem patrzyli na działalność komisji kolonizacyjnej i od 1893 r. komisja wykupuje i niemieckie majątki.

Dla wykupna dóbr z rąk szlachty polskiej powstał prywatny bank niemiecki z kapitałem 10 miljonowym. Ale jest i Polski bank, mający na celu wykupno ziemi i parcelację jej pomiędzy chłopów polskich. Polski bank od 1893 do 1897 wykupił 12.000 hektarów, przestrzeń nieznaczną. Ale dzięki istnieniu i działalności wszystkich tych banków, ich konkurencji i zwiększeniu popytu na ziemię, wzrosła jej cena, podnosi się przeto renta gruntowa i przez to poprawiają się interesy materjalne właścicieli i umożliwia się prowadzenie intensywnej gospodarki rolnej. Obywatele ziemscy Polacy wysyłają swych synów do szkół rolniczych, zaprowadzają meljoracje rolne, prowadzą racjonalną gospodarkę i z tak zwanej „Polnische Wirtschaft" nie zostało już ani śladu.

Państwowy bank Rentowy, który powstał przez prawo z dnia 27 czerwca 1890 i 7 lipca 1891 r. i działalność którego obejmuje całe państwo, nie wyłączając polskich prowincji jest poważnym konkurentem **państwowej** komisji kolonizacyjnej, gdyż przy jego pośrednictwie i polscy włościanie nabywają ziemię! (c. d. n.)

Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

WSPOMNIENIE Z R. 1860 — 1.

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

(Ciąg dalszy.)

Warszawa 9 Maja 1898. Kochany i zacny Łukaszu! Muszę Ci przyznać się ze wstydem, że list Twój pierwszy, przesłany przez Ungra odebrałem, ale w czasie tak chaotycznym dla artystów, mieszkających w Warszawie i w okolicznościach, które mi nie pozwoliły zebrać się na list porządny. Po tak długiej pauzie, w której mało co wiedzieliśmy o sobie, musiało przecież wiele zajść okoliczności, których milczeniem pominąć nie podobna. Pisać zresztą trzeba o sobie, o tem co się zdziałało na polu sztuki, o życiu familijnem, o przybytku, od którego głowa nieraz boli, bo hałasuje porządnie. Zakrawa to na rodzaj „einer Selbstbiographie", do której nie mam cierpliwości, nie posiadając flegmy niemieckiej pana Spohra. A co na to powiesz, że po przeczytaniu mego listu do Ciebie, który mi przysłałeś, jako przypomnienie naszych serdecznych stosunków — co może było zbytecznem, bo ja zawsze w pamięci mam mego Łukasza — zawstydziłem się sam przed sobą, z jaką pewnością siebie wzbijałem się pod obłoki marzeń, głupimi 7-ma tonami skali

chciałem świat zdobyć, a tu z tego wszystkiego — figa! Połowy nawet nie dotrzymałem z tego, co tak szumnie zapowiadałem na Sirkowej ulicy w starym szlafroku moim i podartych pantoflach... Dajmy jednak pokój tym przedwstępnym frazesom, które koniec końców do rzeczy nie prowadzą. Zacznę zatem „curriculum vitae“ od czasu, jak przerwaliśmy nasze relacje piśmienne. Do r. 1866 pozostawałem w Pradze z przerwami wakacyjnemi; jedną zimę przepędziłem w Wiedniu, a jedną w Dreznie. Praga coraz mniej mię nęciła, bo już, prawdę powiedziawszy, nie miałem tam co robić. Zdecydowałem się w końcu 1866 na wyjazd do Paryża. Bardzo mi tam było smutno z samego początku. Stosunki z ludźmi trudniejsze z powodu kursów dalekich, a jak to zwykle we wielkich miastach bywa, brak owej serdeczności, łatwości w zawiązywaniu znajomości i przyjaźni. Pierwszy miesiąc prawie samotnie przepędziłem, aż dopiero w początku 1867 r. z przyjazdem nieodżałowanego Grottgera zacząłem się czuć cokolwiek w domu. Poznawszy, że nie wszystkie rozumy wywiozłem z Pragi od p. Krejczego, zapisałem się do konserwatorjum paryskiego, specjalnie do klasy kompozycji p. Rebera. Chciałem prócz studjów obeznać się z urządzeniami tej instytucji, cieszącej się opinją pierwszej na całą Europę. Rzeczywiście instytucja ta niezmiernie specjalnie kształcąca, trzymając się jak najściślej tradycji swych założycieli, wydała wielu znakomitych kompozytorów i wirtuozów; ale tam trzeba za młodu rozpoczynać edukację, aby mieć czas ukończyć mozolny i rozwlekły kurs i jeszcze czas znaleść na otrząśnienie się z pedantyzmu i nabranie szerszych poglądów o sztuce. Każda gałąź tam zupełnie osobno się traktuje; kursy są czysto specjalne, niema zaś wykładów ogólnych, któreby wpłynęły na ogólniejsze wykształcenie. Pod tym względem konserwatorja w Niemczech wiele wyżej stoją, idą bowiem z duchem czasu. Konserwatorjum paryskie potrafiło mię utrzymać w swych murach zaledwie półroku. Zraził mnie do niego i mój profesor p. Reber, doskonały muzyk, ale taki nudziarz zatabaczony, z którym i pół słowa dogadać się nie mogłem. Z niczego nigdy niezadowolony, a przy każdej sposobności wdawał się w krytykę mistrzów nowszej szkoły niemieckiej: Mendelsohna, Schumanna etc. Porzuciwszy konserwatorjum w początkach r. 1868, dostałem się w opiekę p. Damckego, niezawodnie najlepszego pedagoga w Paryżu; u niego kształciłem się aż do 1870 r., dopóki mnie wojna francusko-niemiecka nie wypędziła ze stolicy świata. Na tem skończyły się moje peregrynacje po świecie. Całą zimę 1871 r. spędziłem w Krakowie, urządziłem koncert z mych utworów, dochód przeznaczywszy na odbudowanie Sukiennic. Śpiewała na nim bardzo utalentowana śpiewaczka nasza, panna Mecenseffy, niestety, już nieboszczka. Odtwarzała ona utwory moje z nieporównanym wdziękiem i poezją, i można powiedzieć, że im nadała żywotność, gdyż zaczęły ogół interesować. W tymże roku w marcu puściłem się do Warszawy, namówiony przez moją śpiewaczkę, która tam także podążyła w celu dania koncertu. Służąc za akompanjatora w jej koncercie, dałem się poznać jako kompozytor, pieśni moje zrobiły mi renomę, zyskawszy uznanie. Poznawszy Warszawę, dałem się ująć wdziękom miasta i mieszkańców i osiedliłem się tutaj w paździer. 1871 r. Skomponowałem tutaj symfonję, którą dałem pierwszy raz w koncercie moim z własnych utworów d. 19 kwiet. 1872 r. Podczas tejże zimy zapoznałem się bliżej z zacną rodziną Grabowskich i ożeniłem się z panną Wandą. Ślub odbył się d. 15 kwiet. 1872., na cztery dni przed moim koncertem... Dziś synów mam trzech: Stanisława, liczącego 5 lat, Tadeusza 3 lata i Edwarda, urodzonego 1 grudnia 1877 r. Zaraz po ożenieniu stanowisko moje zaczęło się wyrabiać tutaj. O ile słyszałeś, Moniuszko wtedy zgasł nagle na atak apopleksji. Szansa zatem dla mnie się otworzyła odziedziczenia po nim katedry w konserwatorjum. Jakoż rzeczywiście, mimo opozycji silnej ze strony p. Kątskiego, dyrektora — musiałeś niejedno o nim słyszeć — otrzymałem posadę profesora harmonji i kontrapunktu przy tutejszem konserwatorjum. Wziąłem się do mego nowego zawodu nauczycielskiego z całym zapałem i mogę powiedzieć, że mi to na złe nie wyszło. Nabrałem wielkiej rutyny w teoretycznym wykładzie: pisanie ciągłe praktycznych przykładów przeglądanie i poprawianie zadań wyrobiło nawet większą technikę i wpłynęło na swobodniejsze władanie kompozycją. Wspólnie z kolegą Boguskim — od śmierci Moniuszki dział teorji muzycznej rozdzielono między dwóch nauczycieli — dużo zdziałaliśmy dla rozwoju muzykalności w Polsce, wydaliśmy dzieło harmonji w naszym języku, niezawodnie najlepsze ze wszystkich mało albo wcale nie istniejących w polskim jezyku i to własnym nakładem. W konserwatorjum jednak po 5 latach sumiennej pracy przekonałem się, że nic zbudować nie można, nie będąc popartym sumienną i gorliwą Dyrekcją... co mnie skłoniło do usunięcia się od 1 stycznia rb. Zawód mój nauczycielski ograniczył się na lekcjach prywatnych, które tę korzyść mają za sobą, że o wiele zdolniejszych uczniów kształcisz w domu, aniželi w konserwatorjum, do którego bez żadnego wyboru przyjmują kandydatów, nie posiadających często najmniejszej kwalifikacji do muzyki. Z początkiem marca objąłem czynności Dyrektora Towarzystwa muzycznego, założonego w r. 1870. Pensja nie tak znaczna 1000 rs. a kłopotów i zajęcia nie mało, nie tyle artystycznego ile administracyjnego. Ot, instytu-

cja na wadliwych statutach oparta, a których zmiana oprzeć się musi aż o Petersburg; chce mieć bądź jaką muzykę, aby jej było dużo i aby jak najmniej kosztowało. Nie wiem, czy się uda tę Instytucję zreformować ku lepszemu, gdyby miało nadal tak pozostać, wątpię, żebym się mógł utrzymać na tem stanowisku. Chóry np. złożone ze samych amatorów, którzy łaskę robią, jeżeli raczą śpiewać, muszą iść kulawo; nigdy nie możesz być pewien programu koncertu lub wieczoru, zawsze musisz być przygotowanym, że ten lub ów skaprysi, chóry się nie zejdą i t. d. Już to, urodziwszy się Polakiem, oddać się muzyce z fachu, to chyba rzecz ostatnia, tyle trudności, a żadnego rezultatu. Masz więc mniej więcej obraz, choć nie zbyt szczegółowy, lecz dość wierny mego życia od czasu naszego rozstania. Mój Boże! żeby się to czasy praskie wróciły, żeby to wolno było ze spokojnem, jak naówczas sumieniem zdobywać wiedzę dla siebie, odrobić zadaną lekcję, oddać się przy natchnieniu swobodnie kompozycji! Teraz już uprawa własnego ducha staje się coraz podrzędniejszą kwestją, a trzeba orać w bardzo niewdzięcznej glebie, w zakutych głowach i jałowych sercach. Jedno, co mnie nie zawiodło, to życie rodzinne: mam szczęście zupełne i mogę żyć nadzieją w dzieciach, które, da Bóg doczekać, pokierują się dobrze. Wolałbym ich widzieć dobrymi obywatelami kraju w innych zawodach, artyzmu nie bardzo sobie życzę. Dosyć już tej spowiedzi. Proszę Cię teraz jeszcze raz o wybaczenie mi mej opieszałości, ale wierzaj mi, że w zimowym sezonie nie mógłbym zdobyć się na list uczciwy. Lekcje, koncerty i stosunki światowe, konieczne w mej pozycji, odrywają mnie od wszystkiego, co się pismem zowie. Bywaj zdrów, zacny przyjacielu, zawsze jesteś poczciwym Łukaszem, przywódcą ku szlachetnym ideom. Twój kochający Cię. *W. Żeleński.*

(D. c. n.)

SYMFONJA ŚWIATŁA

przez

Walerję Marrené.

(Ciąg dalszy.)

Nie mylił się, była to rzeczyiście symfonja światła, o jakiej marzył.

— Nie! — zawołał — nie, sto razy nie! ja inaczej malować nie będę.

Postanowił więcej nie pokazywać się w szkole i zaczął rozmyślać nad tem, co ma robić.

Nazajutrz rano poczuł, że jest głodny, dla tej doskonałej przyczyny, że poszedł spać bez kolacji, przytem stróż przypomniał mu dość niegrzecznie, że pierwszy minął oddawna. Nie mógł przecież wyciągać ręki, jak ten żebrak, co stał na rogu, powtarzając, że od trzech dni nic nie jadł.

Byłby wolał umrzeć, niż udać się do kolegów. Pomiędzy nimi a sobą czuł niezgłębioną przepaść: wykopał ją dzień wczorajszy. Jeśli oni mieli słuszność, pozostawało mu tylko wyrzucić palety i połamać pendzle.

Ale on zrobi drugi, trzeci obraz, on musi ich przekonać! on przekona wszystkich!... Ba! jakże tu przekonać, kiedy nie ma ani czem, ani na czem malować. Przyszedł mu na myśl emeryt. Biedak z wielkim trudem łączył, jak to mówią, brzeg z brzegiem, a często nie jadł obiadu w ostatni dzień miesiąca... Przytem wstyd mu było tej nędzy. Wszak był już człowiekiem, miał lat dwadzieścia, zdrowe ręce.

Idąc bez celu, spotkał Zosię, której od powrotu do Warszawy szukał daremnie. Jej także nie dopisały nadzieje: zamiast sum bajońskich, jakie pobierać miała, dla braku roboty wydalono ją z pracowni. Wprawdzie nic na tem nie straciła, miała tylko więcej swobody do marzeń. Płakała przecież. Może miała jakie osobiste powody, z których nie zwierzyła się Adrjanowi. Łzy jej doprowadziły go do wściekłości, nie mógł jej dopomódz, więc w ten sposób objawiało się jego dobre serce. Odszedł z jakąś niewyraźną klątwą. Ona stała, gdzie ją zostawił.

— I czegoż płaczesz, głupia? — wyrzekł wracając. — Znajdziesz znowu robotę na jesień.

Miał ochotę scałować łzy z jej habrowych oczu i rumianej buzi i rozpłakać się także.

— No, no — dodał łagodnie — idź do domu, ja tam przyjdę.

Szedł dalej bez celu. Na ulicy Mazowieckiej zatrzymał się przed Towarzystwem kredytowem. Gmach ten lubił nad wszystkie inne i był w stanie przypatrywać się całemi godzinami jego smukłym półkolumnom, wykwintnym łukom, harmonijnym proporcjom. Patrząc zapomniał na chwilę o swoich kłopotach, gdy nagle ujrzał wychodzącą głównemi drzwiami panią Soliczewską, wspartą na pannie Leontynie. Szwajcar kłaniał się jej z uszanowaniem jakie zwykle wzbudza majątek.

Ten warjat Adrjan bynajmniej tego uszanowania nie podzielał, bo zamiast pobiedz przywitać babcię i ucałować jej ręce, ukłonił się zdaleka. Ona go nawet nie dostrzegła, była czemś bardzo zajęta, przyciskała do piersi jedną rękę, jakby strzegła jakiegoś skarbu, i oglądała się machinalnie na wszystkie strony z widocznym niepokojem.

— Oto dorożka — mówiła Leontyna, prowadząc ku niej swoją panią.

Pomimo całego zafrasowania, pani Agnieszka odciągnęła ją gwałtownie.

— Co ty robisz, para koni.

— Prawda! — mruknęła szyderczo Leontyna — dziesiątka więcej.

Spojrzała z pod oka na rękę swej pani w pozszywanej rękawiczce, przyciskającej coś do piersi.

— Na co marnować — ofuknęła ją stara kobieta — na co?

Leontyna chciała coś odpowiedzieć, połknęła słowa, i poszły dalej, szukając jednokonki, której jak na złość nie było. Obie licho ubrane, w wytartych okryciach, przedpotopowych kapeluszach, wyglądały na żebraczki wyższego rzędu, czekające jałmużny litości wych osób.

— Czy być może, by babcia posiadała krocie? — pytał siebie Adrjan. — To pewnie jakieś bajki. — Znał wspaniałego szwajcara, pilnującego drzwi instytucji. Był to krewny Zosi, postanowił więc zasięgnąć informacji. Wprawdzie nie przyszłoby mu nic z tych kroci, choćby je nawet babcia miała, no, ale zawsze chciał to wiedzieć.

— Panie Ignacy — zapytał — czy znacie tę panią, która ztąd wyszła?

— Co nie mam znać? To pani Soliczewska, bogata pani. Ma ona u nas kupę pieniędzy. Dwa razy na rok przychodzi regularnie po swoje procenty i znów kupuje listy. Powiadają, że ten półroczny procent to byłby majątek nielada. Ot, i dziś go wzięła.

Uśmiechał się, oblizywał, jakby czuł na ustach smak tego majątku.

— Soliczewska to moja cioteczna babka — wtrącił nie wiedzieć czemu malarz:

— Chryste Panie! — zawołał szwajcar, zrywając się z ławki, na której siedział dotąd bez ceremonji. Potem dodał, przypatrując się malarzowi, jakby go pierwszy raz widział:

— No, no! ktoby to pomyślał.

Wdał się z nim potem w gawędkę, może nie bardzo dowierzał pokrewieństwu i chciał się o niem coś więcej dowiedzieć. Ignacy skarżył się, że jak na tak wielkie pieniądze, pani Soliczewska była trochę skąpa, nawet bardzo skąpa. Choć jej drzwi otwierał z nizkim ukłonem, nigdy mu nie dała nawet marnej dyski. Tu zaś przychodzą nieraz tacy panowie, co nie mają nawet dziesiątej części jej majątku, a człowiekowi całego rubelka rzucą. Ale pan Ignacy był na to wyrozumiały.

— Trudno, panie, trudno — mówił filozoficznie — każdy człowiek ma inną naturę, ale kobieta zawsze skąpsza od mężczyzny.

Adrjan był oszołomiony dziwacznością swego losu. On, jedyny spadkobierca tych pieniędzy, zaczynał odczuwać głód w całem, srogiem znaczeniu tego wyrazu. Gdyby też udał się do pani Agnieszki? Nigdy ją o nic nie prosił, a teraz żądał tak mało, tylko środków do pracy. Przyszła mu myśl gorączkowa: gdyby tak zaniósł jej swą „Symfonję światła"? Ona może rozweseliłaby jej oczy, rozgrzała stare serce. Wówczas malowałby coraz lepiej, malował dla niej. Obok południowej symfonji widział już przed oczyma czerwone łuny zachodu, promienie purpury spływające z rozgorzałych obłoków na czerniejącą ziemię, a skoro żądają na krajobrazie ludzkiej postaci, to wśród tego pożaru odmaluje Zosię: ona będzie na ponurem płótnie zapowiedzią złotej jutrzenki.

Idąc za pierwszym popędem, znalazł się u drzwi pani Agnieszki i zadzwonił z całej siły. Zrazu nie otwierał nikt, szpice ujadały gwałtownie i słychać było drobne kroki w przydeptanych pantoflach. Wreszcie, po długiej zwłoce, zaczęto odsuwać mnogie rygle i przez drzwi, opatrzone łańcuchem, wyjrzała przestraszona twarz Leontyny.

Poznała go, ale nie puściła i poszła oznajmić o niezwykłych odwiedzinach.

(D. n.)

SOCJOLOGJA.

(Ciąg dalszy).

Najpierwotniejszą formą społeczności ludzkiej jest dzika *horda*, w której rozpoznać można zaledwie zarodki socjalnego procesu rozwoju. Jest to rozwojowa forma społeczna w najbliższem będąca pokrewieństwie ze stadem zwierząt. W tej hordzie prymitywnej jedynym władcą bywa przypadkowo za dowódzcę uznany najdoświadczeńszy, najdzielniejszy, albo najstarszy, któremu dobrowolnie ulegają wszyscy (tak samo, jak przodownikowi w stadzie). Istotna jednak władza spoczywa w całej tylko hordzie (w pełnem jej *zgromadzeniu.*) Własność stanowią tu własnego wyrobu: broń, klejnoty, ubiory (*własność oparta na pracy.)* Stosunki płciowe są *bezładne*, a przypadkowo tylko trafiają się czasowe związki trwalsze. Związki pokrewieństwa, ale tylko ze strony macierzystej, są nader silne. Wywołuje to wielką solidarność członków hordy i nienawiść przeciw „obcym", uważanym za „wrogów" którym się odmawia nawet praw „człowieka". Lokalne zatem związki krwi są (jak i po większej części u zwierząt) natury macierzystej, bez udziału mężczyzny i z zupełnem socjalnem równouprawnieniem obu płci. Pobudka do dalszego

rozwoju przychodzi z zewnątrz, od innych hord, spółzawodników, a zatem i wrogów, w walce o byt, a naturalnym skutkiem tego spółzawodnictwa na polu gospodarczem jest *wojna*, która pod względem socjalnym stanowi dla hordy impuls do różnostronnego rozwoju. Wzmacnia ona potrzebę, a co za tem idzie i poczucie władzy, do własności opartej na pracy tylko dodaje ona *własność zdobyczną*, najgłębiej jednak oddziaływa na rozwój stosunków między płciami. Najcenniejszym łupem jest kobieta (mężczyzna zostaje zabity). Zdobyta niewiasta staje się prywatną własnością zdobywcy, pierwotnie niekoniecznie jako nałożnica, ale jako siła gospodarcza, *niewolnica*. Korzyści stąd płynące wywołują umyślne wyprawy w celu zdobycia kobiet i nową formę małżeństwa „porywanie“ niewiast. Obok *wielomęskiej* rodziny macierzystej (z kobietą na pierwszym planie) tworzy się *poligamiczna* rodzina ojcowska z wyłącznem panowaniem mężczyzny, a często już na pierwotnem stadjum rozwoju wskutek braku kobiet i materjalnego niedostatku rodzina *monogamiczna*. Z początku obie te formy istnieją razem i równocześnie. Ale korzyści, jakie pod względem gospodarczym i wojennym, a przedewszystkiem ze względu na wychowanie potomstwa daje *rodzina ojcowska* zarówno pojedynczym osobnikom, jak i całej społeczności, zapewniają tej ostatniej formie rodziny ostateczne zwycięstwo w walce z rodziną macierzystą. Przedtem jednak wspólna kobieta hordy traci owo uprzywilejowane stanowisko, które zajmowała wobec zdobytej na wojnie niewolnicy, a rozwijające się porywanie i kupno niewiast wewnątrz samej hordy czynią je prywatną własnością zdobywcy lub nabywcy, chociaż o ogólnem ujarzmieniu kobiet nie ma jeszcze mowy. Wyłączne posiadanie kobiety przez jednego tylko mężczyznę następuje jednak stosunkowo dość późno. Przedtem jeszcze obok *patrjarchatu* utrzymują się niektóre formy wielomęstwa (jak *małżeństwo z braćmi i lewirat)*, a nawet trwają jeszcze szczątki stosunków bezładnych (w tradycyjnej *gościnności*, *zamianie kobiet* itp.) Tak samo i w sferze pokrewieństwa, które ze związku gospodarczego i lokalnego przeistoczyło się w związek rodowy, dominujące znaczenie zachowuje jeszcze *prawo macierzyste*, aż nareszcie z ostateczną zamianą związku płciowego (rodziny macierzystej) na czysto gospodarczą i lokalną grupę (rodzinę ojcowską) tak co do formy, jak i co do treści wykształca się ostatecznie *prawo ojcowskie*.

Wraz z tym rozwojem rodziny zachodzi także w pierwotnej hordzie istotna zmiana w stosunkach władzy. Horda nie posiada już tej samej prostej struktury, co niegdyś. Wytworzyły się w niej pojedyncze grupy, stosunkowo bardzo samodzielne, które znowu z kolei grupują się dokoła pewnego stałego ośrodka — ojca rodziny. Władza, a wraz z nią i prawo, przeszły od całej hordy do rąk stosunkowo niewielkiej liczby równouprawnionych naczelników rodzin, którzy całość hordy reprezentują, a stosunek całej masy innych członków hordy do tych naczelników jest czysto poddańczy i płynący z prawa własności. Przewódzca uznany przez tych „najstarszych“ jest to zawsze jeszcze *„primus inter pares“* aż dopóki forma władzy wraz z postępem podziału własności nie ulega dalszemu rozwojowi. To, co służy do zaspokojenia wspólnych potrzeb hordy, jest jej *wspólną własnością* (obszary myśliwskie, rybne wody wygon dla bydła), gdyż tylko w drodze zrzeszonej, wspólnej pracy może być eksploatowane. Ponieważ jednak tak narzędzia pracy (przybory myśliwskie, rybołówcze itp.), jak i (przynajmniej po największej części) owoce pracy (łupy myśliwych itp.) przechodzą w *posiadanie indywidualne*, to rzecz oczywista, iż rodzina ojcowska, z istoty swej będąca związkiem roboczym, stosownie do swej wielkości i wytwórczości, musi osiągać rozmaity skutek gospodarczy. Kto ma liczniejszą rodzinę, ten jest silniejszy, ten zatem większy mieć będzie wpływ w hordzie. W stadjum pasterskiem, przy rozmaitej liczebności trzód, proces ten postępuje dalej i wyradza się tu często wprost *w kapitalizm* ze wszystkimi objawami jego pieniężnej formy. Ale i tam, gdzie rolnictwo pociągnęło za sobą życie osiadłe, a ziemię uważa się za wspólną własność hordy *(komunizm wiejski)* na najpierwotniejszem już stadjum występują osobiste różnice w posiadaniu i to w najrozmaitszej, postaci. Obok ścisłej własności gminy wiejskiej, albo rodu pojawia się przywilej własności prywatnej, jako nagroda za osobistą zasługę. Przedmiotem tej *własności zasłużonej* stają się indywidualnie obrabiane sady, wykopane studnie, zasadzone drzewa owocowe, a nawet wykarczowane i uprawione przez daną osobę lub rodzinę grunta. Te nierówności w posiadaniu i sile gospodarczej pociągają za sobą zawsze nierówność polityczną, ale i duchowa oraz moralna wyższość może zapewnić komuś w hordzie lub *pierwotnej gminie wiejskiej* przewagę. Zwłaszcza w okresach pokoju rośnie władza wyższych duchem (*kapłanów*, czarnoksiężników, lekarzy), ale zato wszędzie tam, gdzie społeczeństwo w walce z wrogiem zewnętrznym bronić musi swej egzystencji, wpływ mądrego i szczęśliwego wodza przeważa wszelkie inne, a przy dłuższem trwaniu tego wojennego stanu ów przypadkowo obrany dowódzca staje się dożywotnim, a wkrótce i dziedzicznym, *naczelnikiem*.

(C. d. n.)

Z pracowni uczonego.

Wiadomy już jest trjumf, jaki osiągnął Szczepanik, o którego wynalazkach pisze się dziś tak wiele.

Nasz rodak zbudował przyrząd, służący do przesyłania na odległość obrazów optycznych, podobnie jak telefon służy do przesyłania mowy.

Na jakiej zasadzie zbudowany jest ten cudowny przyrząd?

Należy tutaj zaznaczyć, że ową zasadę znamy oddawna: telefot został już odkryty przed kilkunastu laty, odkryty — powiadamy — choć nie wynaleziony, opisywano go bowiem szematycznie; ale nikomu nie udawało się zbudować go, t. j. wcielić ideę w aparat praktyczny i funkcjonujący.

Chcąc dobrze zrozumieć całą sprawę przenoszenia obrazów optycznych na odległość, musimy wprzód zastanowić się nad teoretycznemi podstawami telefonu.

Rozpatrzmy naprzód prawo fizjologiczne, niezmiernie ważne dla każdego telefotu.

Prawo to orzeka, że obraz, rzucony na siatkówkę oka, staje się widzialnym w jednej chwili, lecz raz wyczuty — trwa około $^1/_7$ części sekundy.

Błyskawica np. trwa $^1/_{10000}$ sekundy, a jednak widzimy ją doskonale; to samo mniejwięcej odnosi się do błysku wystrzału.

Z drugiej strony — weźmy jakikolwiek świecący przedmiot i osuwajmy go szybko przed oczami; cóż ujrzymy? Oto świetlaną smugę, zamiast pojedynczego punktu.... Za przykład niech nam posłuży iskra, wyskakująca z lokomotywy i przelatująca przed oknami wagonu, kamień, obracający się szybko na sznurku, rakieta, wyrzucona w powietrze. Wszystkie te rzeczy, będące w rzeczywistości punktami świetlnemi, dzięki szybkiemu swemu ruchowi przedstawiają się wzrokowi jak jednolite linje.

Oko bowiem widzi dany przedmiot w punkcie *d* już wtedy, gdy jeszcze nie zatarły się na siatkówce jego obrazy, uchwycone w poprzednich położeniach *a b* i *c*.

Przedmiot, spostrzegany równocześnie w wielu miejscach opisywanej przez siebie drogi, sprawiać musi owo wrażenie linji ciągłej.

Powiedzieliśmy, że prawo to ma wielkie znaczenie dla telefotu.

Dlaczego?

Dlatego, że uproszcza niezmiernie całą sprawę.

Weźmy np. linję świetlną. Chodzi nam o to, żeby jej obraz przenieść na odległość.

Mamy w tym celu dwie drogi: pierwsza polega na tem, aby odtworzyć równocześnie wielką liczbę pojedynczych punktów, składających ową linję.

Do tego potrzebaby ewentualnie stu albo dwustu drutów, z których każdy przenosiłby jeden punkt obrazu, przedstawiający się — dajmy na to — jak wyskakująca z końca przewodnika iskierka elektryczna: gdybyśmy zaś musieli przesłać obraz całego przedmiotu, składającego się z wielu linij, to liczba drutów wzrosłaby do kilkunastu tysięcy.

Opierając się zaś na wyż zaznaczonem prawie fizjologicznem, możemy przesłać obraz linji przy pomocy jednego świetlnego punktu, jeśli ten będzie się szybko poruszał po drodze, odpowiedniej do formy tejże linji.

Zobaczmy teraz, jakie środki posiada technika dla rozwiązania tego zawiłego zagadnienia.

Główną rolę pomiędzy niemi odgrywa — jak tego się z góry można domyśleć — wieszczka elektryczność, której zawdzięczamy już telefon. Ona to pozwala przesyłać w jednej chwili, na dowolną odległość, najsubtelniejsze i najszybsze drgania. Trzeba było tylko znaleść pośrednika pomiędzy nią a światłem.

Pośrednikiem takim jest pokrewny z siarką pierwiastek, nazwany selenem.

Ciało to posiada ciekawą, a w danym wypadku — cenną własność, mianowicie: w ciemności przepuszcza bardzo słabo prąd elektryczny; skoro jednak oświetlić go, staje się nagle wcale dobrym przewodnikiem.

Wyobraźmy sobie teraz, że na jednej stacji (wysyłającej) znajduje się soczewka, dająca obraz — przypuśćmy — linji krzywej i że ten obraz chcemy przenieść na odległość.

W tym celu urządzamy mechanizm, któryby nam pozwalał przesuwać po jednej płaszczyźnie selenową płytkę w ten sposób, żeby takowa w $^1/_{10}$ część sekundy przebiegła przez wszystkie punkty, leżące na tejże płaszczyźnie

Przypuśmy więc, że płytka, mająca 2 milimetry kwadratowe, będzie bardzo szybko zakreślała linję spiralną, o zbliżonych do siebie skrętach; selen ten włączamy pomiędzy końce drutu, przez który płynie prąd elektryczny do drugiej stacji.

W położeniach, odpowiadających cieniom obrazu, rzuconego przez soczewkę, selen nie będzie przepuszczał prądu; ilekroć jednak znajdzie się w punktach świetlanych, elektryczność przeleci przez drut do drugiej stacji.

Na tej drugiej, odbierającej stacji, znajduje się mechanizm zupełnie tak samo się poruszający (synchronicznie), z tą tylko różnicą, że miejsce selenu zajmuje np. lampeczka elektryczna.

Lampka, ta albo iskierka, zabłyśnie w tych punktach swej spiralnej drogi, które na pierwszej spirali odpowiadają oświetlonym miejscom obrazu, a ponieważ przebywa ona wszystkie punkty w $^1/_{10}$ części sekundy, przeto bę-

dzie wszędzie dla oka widzialną i utworzy obraz, rzucony przez soczewkę na stacji wysyłającej.

Taki telefot opisywano już przed 15 laty, lecz nikomu nie udało się zbudować go.

Jeśli nasz czytelnik zrozumiał dobrze zasadę telefotu, to łatwo się zorjentuje w opisie wynalazku Szczepanika.

(D. n.)

Nowe książki.

Dr. Bruno Schoenlank: **Kartele i syndykaty.** Warszawa. Druk K. Kowalewskiego. 1897.

Broszura, którą mamy pod ręką — wyszła w języku niemieckim już dawniej; nie mniej jednak ma znaczenie, iż tak powiem — bieżące, co spowodowało wydawców do przełożenia jej na język polski. Przekład jest ponadto i tem usprawiedliwiony, że autor rozprawy Dr. Bruno Schoenlank uważanym jest w nauce gospodarczej za specjalistę poniekąd w kwestji „Kartelów i syndykatów“.

Pierwszy badacz kartelów Kleinwächter, był w tem niedogodnem położeniu, że członkowie kartelów odmówili mu nawet najkonieczniejszych i dla teoretycznego tylko celu potrzebnych objaśnień. Mimoto dostrzegł Kleinwächter, że kartele — owe związki kapitalistów w poszczególnionych działach wytwórczości — dążą: 1-mo do normowania cen, 2-do regulacji produkcji i 3-io do zgodnego wzajemnego podziału rynków. Od tej pory (tj. od r. 1883) zakres działania kartelów znacznie się rozszerzył i pogłębił tak dalece, że trudnoby było wyliczać dzisiaj wszystkie cele i dążności tej formy kapitalistycznego wytwarzania. Obecnie — pisze Dr. Schoenlank niema ani jednego z zakresów życia przemysłowego (razem z górnictwem), którýby nie znalazł się w obrębie wpływów zrzeszenia przedsiębiorców, niema ani jednej czynności gospodarczej, którąby nie ulegała oddziaływaniu z tej strony“. Słusznie podnosi autor, że te „zrzeszenia przedsiębiorców“ są jednem z najwymowniejszych zjawisk gospodarczych bieżącej doby produkcyjnej — stwierdzających załamanie się manchesteryzmu (tj. bezwzględnej swobody gospodarującej jednostki) nie tylko w teorji, ale silniej może jeszcze — w praktyce rozwoju ekonomicznego. Co więcej: silny, coraz ściślej określany ruch kartelowy znajduje się, jak statystyka wzrostu ilościowego i jakościowego kartelów stwierdza, w stadjum szybkiego rozwoju, przez co indywidualistyczne wytwarzanie kapitalistyczne — przybiera siłą konieczności społeczno ekonomicznej coraz więcej cech wytwarzania „zrzeszonego“ (kolektywnego). W rozwoju tej zrzeszonej formy produkcji wyróżnia Dr. Schoenlank 4 zasadnicze ogniwa, jako to: Okres pierwszy — „przygotowawczy“, w którym zaczynają dopiero powstawać „luźne umowy co do trzymania cen na pewnym poziomie i ograniczenia rozmiarów produkcji“. Okres drugi — kartelów „niższego rzędu“ odznacza się większą trwałością umów, zawartych na pewien termin. W dalszym rozwoju (okres trzeci) powstają „kartele wyższego rzędu“ dążące przez ścisłą organizację umów do zapanowania nad całą sferą danej gałęzi wytwórczej, „do wprowadzenia jednolitej akcji pojedyńczych przedsiębiorstw, podziału rynków i założenia wspólnych składów sprzedaży“. Stąd — tylko jeden krok prowadzi do *trustów*, tj. do takich zrzeszeń wytwórczych, w których następuje zanik pojedyńczych przedsiębiorstw, stanowiących części składowe trustu, a natomiast cała działalność gospodarcza skupia się 1-no w pracy robotników, 2-do w kierowniczym zarządzie t. zw. „urzędników“ fabrycznych i 3-cio w centralnych władzach gospodarczych trustu, powołanych do naczelnego zawiadowstwa przez akcjonarjuszów trustu. Dr. Schoenlank określa gospodarczą działalność trustów tylko ogólnikowo; ja starałem się naszkicować je przynajmniej w najważniejszych punktach, a to dla tego, ażeby okazało się jasnem, że rzeczywiście w trustach następuje już zupełny „zanik poszczególnych przedsiębiorstw“; kapitalista zatraca wszelkie cechy wytwórcy (o ile rozumie się nie jest bezpośrednio zajętym w zarządzie trustu), zatraca, po prostu powiedziawszy, całą swą indywidualność gospodarczą i z „pana swoich czynów — staje się tylko administratorem związku“. „Wczoraj — pisze Dr. Schoenlauk działał samotny i dumny ze swego stanowiska, dzisiaj idzie w zwartym szeregu z wielu towarzyszami; wczoraj rozkazywal, dzisiaj słucha“. W istocie rzeczy nie można nawet bez zastrzeżenia powtórzyć za autorem, że taki „oddzielny przedsiębiorca został urzędnikiem kartelu“ — gdyż nawet w czynności nadzorczej daje się zastępować, a sam — na zasadzie posiadanych przez się akcji jest wraz z innymi akcyonarjuszami tylko współkonsumentem związku. Mimowoli nasuwa się na myśl utopja gospodarczo społeczna Platona, który „rząd“ przeznaczył „arystokratom“ dziedzicznym, żyjącym w komunie konsumcyjnej, zaopatrywanej w produkta przez ludność niewolniczą, pracującą pod nadzorem wolnej ludności niearystokratycznej. Naturalnie — czasy się zmieniają; niewolnika zastąpił „wolny najmita“ — nie arystokratę wolnego urzędnik i w ogóle administrator trustu, a w miejsce spożywczej konsumy „arystokratów“ rozwinęła się spożywcza spółka — akcjonarjuszów. A cóż dalej? Odpowiem słowami autora: „Po gospodarstwie indywidualnem okresu wolnej konkurencji nastały związki przedsiębiorcze, z nich zaś wykluwa się współdzielczość kapitalistów. Kartele, rozwijające się według coraz postępowszego pasma, wydadzą wszystko to, do czego zdolne jest zrzeszenie w takich warunkach. Ale i one kiedyś uiszczą daniny zasadzie zmienności i ustąpią miejsca innym wzorom; zatrzymają strony dodatnie, rozstaną się zaś z ujemnemi“. —

Dr. K. J. Gorzycki.

Drukiem K. Wiesnera we Lwowie.